

Nadzieja na miłosierdzie

gosc.pl/doc/4614401.Nadzieja-na-milosierdzie

April 5, 2018



Ziemia nadal zmrożona, łatwiej przejechać błotniste drogi. Na rozstajach krzyże, a w drewnianych chatkach ludzie czekają na pomoc. Czysta misja.

Więc i misji dalekich nie trzeba. Wystarczy Podlasie, gdzieś między Michałowem a Narwią i Narewką, gdzie mówią po polsku, po białorusku, po „tutejszemu”. Gdzie słychać: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” i „Sława Isusowi Chrystu”. Gdzie pekaesy polikwidowali, więc do małych wioseczek i dierewni trudno dojechać. Gdzie młodych jak na lekarstwo, a starsi lekarstwa i obecności czekają na próżno. Gdzie od ośrodka zdrowia oddzielają las, bagna i pagórek. Zresztą – czy na raka w ostatnim stadium choroby, oczy sterane, nerki niewydolne i ciężką starość wymyślił ktoś tabletki?

Filozofia Nadziei

Pani Nadzieja mieszka w Załukach, kilkanaście kilometrów od Michałowa. Gdy była młoda, lubiła chodzić na targ do Michałowa. Wtedy nie było autobusów, a mało kto mógł pozwolić sobie na jazdę konno. Ale była młoda, miała zdrowe nogi, to i chodziła. Lubiała szydełkiem dziergać, tkąć, wyszywać. – Artystka ja była, gdy maładaja – mówi pani Nadzieja. Siwa, lekko zgarbiona, pomarszczona. Oczy pogodne, wesołe, iskrzą się jak za artystycznych czasów. Identyczne jak na starej fotografii wiszącej nad łóżkiem: tam młoda dziewczyna obok przystojnego kawalera. Z nadzieją na całe życie...

Pani Nadzieja uśmiecha się łagodnie. Nawet rak skóry, może zaniedbany i źle leczony, pani Nadziei chyba niestraszny. Bo i czego się tu bać?

Telefon. Taki z obrotową tarczą, czerwony, na kablu. Pani Nadzieja z trudem odbiera. Mówi głośno, choć to ona nie słyszy, a nie dzwoniący. – Kto to dzwoni? Mało co słyszę – oznajmia dla porządku. – Ty zadzwoń później, bo mam mnoga gości – informuje rozmówcę. Pani Nadzieja wraca do rozmowy i swoich opowieści. Historii, które przez prawie sto lat przeżyła, zobaczyła, których całą sobą dotknęła. – Jest na świecie dobro i zło. I człowiek ma swój rozum: albo w dobro idzie, albo w zło.

I opowiada pani Nadzieja przypowieść o rolniku, który szoł z pola i Jezusowi pomagał. Szymon z Cyreny. Znajesz? I o tym, że Bóg jest jeden, nieważne, czy w kościele, czy w cerkwi. I że dobrym człowiekiem trzeba być zawsze. Bo On jeden patrzy. Takie rekolekcje nadziei u pani Nadziei. A gdy Nadzieja opowiada, pani Lucynka – pielęgniarka – zmienia jej opatrunek. Delikatnie przemywa miejsce zaatakowane przez nowotwór. Mierzy ciśnienie, poprawia koszulkę. Szlafrok próbuje pani Nadziei założyć. – U mienia ciepło. Napalone w piecu, nie trzeba – kategorycznie odmawia pacjentka. Sąsiadka, dobra kobieta, która pomaga starszej pani, rano napaliła. Stary kaflowy piec w drewnianej chatce wesoło buzuje. Pamięta chyba ten piec czasy, gdy starzy rolnicy, już do roboty nieprzydatni, musieli żebrac po kościołach i cerkwiach. Pamięta biedę. A może to sama pani Nadzieja tak pamięta? I może dlatego tak radośnie dziwi się, że przychodzi do niej pielęgniarka Lucynka i pani doktor Ewa. I czasem pan doktor Paweł. – Niech im Bóg błogosławi...

Pożegnanie Aleksandra

Doktor Paweł Grabowski już miał wyjeżdżać do kolejnego pacjenta, pana Aleksandra z Tanicy Górnej, gdy zadzwonił telefon. Pani Genia dzwoniła. Umarł pan Aleksander. Jego synowa płacze i prosi: „Przyjedźcie, sama zostałam, przyjedźcie”. Więc jadą: doktor i pielęgniarka Sława Drozd-Korowaj. Droga mocno wschodnia, podlaska, z dziurami, ale przejezdna. Na rozstajach krzyże. Stare, drewniane, wotywno stawiane za ocalenie z epidemii, do samego nieba prowadzą. Już z daleka widać, który to dom pana Aleksandra. Na bramie wiszą żałobne chorągwie, przypominając o modlitwie za zmarłego.

Pani Genia, od kilkunastu lat wdowa, sama teścia doglądała. Pod koniec był jak dziecko. Cierpliwa była pani Genia, bo tak trzeba, bo kto by się nim zajął? Gdyby jej powiedzieć, że jest miłosierną, cichą bohaterką, bardzo by się zdziwiła. Teraz gładzi teścia po skrawku garnituru, po bucie trumiennym. I płacze. Siada ciężko przy trumnie i cicho mówi: – Gdyby nie wy, nie dałabym rady. Gdyby nie wy, co by z nim było? – spoglądając to na panią Sławę, to na doktora Pawła. – Gdyby nie hospicjum, co byśmy tutaj z ojcem zrobili? Jak żyli? Byliście z nami za życia, jesteście i teraz. Dziękuję...

I zapada cisza, trochę krępująca, poparta modlitwą. Prawosławną pani Sławy, katolicką doktora Pawła. Wspólną i prawdziwą. – Przyjdziecie wieczorem na panichidę?

Przyszedł doktor. Usiadł przy trumnie razem z sąsiadkami i rodziną modlić się za zmarłego. Batuszka też przyszedł. Wokół pana Aleksandra kwiaty, śpiew wielogłosowy i... pokój. Na dalekim Podlasiu bardziej niż gdzie indziej czuje się, że śmierć jest częścią życia. A skończone życie ziemskie to przejście do życia lepszego. Choć we łzach bliskich.

Pogodny pacjent

W starym bloku w Lewkowie Starym na dr. Grabowskiego i pielęgniarkę Sławę czeka cała rodzina. Starszy pan, jego żona i dwie córki. – To mój najpogodniejszy pacjent – uśmiecha się pani Sława, przedstawiając pana Olka. – On zawsze uśmiechnięty i zawsze mu dobrze.

Pan Olek, wygodnie oparty o poduszki, obserwuje zamieszanie wokół niego z lekkim dystansem. – Noc była ciężka, kaszel silny – informuje pracowników hospicjum żona.

Pani Sława sprawdza saturację, doktor bada chore płuca stetoskopem. Saturacja mogłaby być lepsza. Ale bardzo źle nie jest. – Kilogram miesięcznie tatusiowi spada – z wyrzutem i frasunkiem mówi któraś z córek. – Nie chce jeść...

– Kiedy ja nie mam apetytu na nic – informuje pan Olek. – Może jakiś lek na apetyt, może jakiś sposób, by jeść zaczął? – żona, jak to żona, strapiona, szuka na mężowską chudość sposobu.

– Czemu pacjent nie je? Może być wiele powodów – dr Grabowski mówi dość cicho, kojąco, patrząc uważnie i na pacjenta, i na stroskaną rodzinę. – Bywa, że guz uwalnia takie substancje do organizmu, że po prostu pacjent nie czuje głodu. Są i na to sposoby: trzeba jeść częściej, mniejsze porcje. Nawet po dwie, trzy łyżki, byle regularnie. I zapiszemy lek poprawiający apetyt. Bo, panie Olku, trzeba jedzenie traktować jak lekarstwo i przez rozum jeść... – zwraca się do chorego. – Przez rozum?... – mruga lekko okiem pan Olek. – Czasem starszy ma więcej głupot w głowie niż dziecko – rodzina, pielęgniarka i doktor wybuchają śmiechem. A pani Sława pobiera krew z palca – bada poziom cukru. – Serniczek dziś jadł – tłumaczy nieco wyższy wynik czujna żona.

– I dobrze. Małe przyjemności są ważne. Nie można choremu wszystkiego zabraniać – pielęgniarka chowa glukometr do torebki. Dziś jeszcze odwiedzi kilku innych pacjentów, więc musi jechać dalej. Od wioski do wioski, od dierewni do dierewni. Od chorego do chorego. Doktor też powoli się żegna. Inni pacjenci czekają, a dzień powoli chyli się ku końcowi. – Pan to strzyże, goli i zęby rwie – z pogodnym uznaniem, podając rękę, mówi pan Olek.

– A bywa, że czasem leżącemu pacjentowi z bolącym zębem trzeba ulżyć – uśmiecha się doktor.

Czy tu będzie San Francisco?

Pierwszą kierunkiem studiów dr. Pawła Grabowskiego była stomatologia, potem medycyna, chirurgia szczękowo-twarzowa, następnie przyszedł czas na pracę naukową. W końcu przełom: po latach pracy z pacjentami przyszła refleksja: prócz leczenia wielki sens ma towarzyszenie aż do końca. Więc medycyna paliatywna, a w końcu (obiektywnie dość szalony) wyjazd z Warszawy na Podlasie. Tam, skąd wszędzie daleko, gdzie biednie i gdzie ludzie umierają w samotności. Powstało domowe, wiejskie i przez długi czas społeczne (NFZ dofinansowuje je dopiero od pół roku) Hospicjum św. Eliasza. Biuro znajduje się obecnie w Michałowie, 40 km na południowy wschód od Białegostoku. – Najpierw miało to być małe hospicjum, na kilku pacjentów. Z roku na rok potrzebujących jednak przybywa – opowiada dr Grabowski, prowadząc samochód gdzieś przez podlaskie lasy i piaski. – Dziś opiekujemy się blisko trzydziestoma osobami – chorymi onkologicznie, ale także starszymi, schorowanymi, leżącymi ludźmi, którzy na wsiach nie mogą liczyć na

pomoc hospicyjną. A potrzeby wciąż rosną. Nasz zespół, złożony obecnie z dwóch lekarzy, czterech pielęgniarek, psychologa, fizjoterapeutów, jeździ po terenie 5 gmin. Bywa, że w ciągu jednego dnia przejeżdżamy ponad 100 kilometrów.

Gdy pacjenci mają rodzinę, wtedy wsparcie medyczne i psychologiczne pacjenta i bliskich wystarczy, by życie starszej osoby było pełne nadziei. Gorzej, gdy nadziei na bliskich nie ma, bo wyjechali, umarli, zapomnieli. Wtedy nadzieja tylko w sąsiadach i pracownikach hospicjum.

Auto zatrzymuje się w szczerym polu. Kilka choinczek samosiejek. Jakiś wiosenny ptak drze się wniebogłosy, że intruzi spokój mu burzą. – To jest nasza ziemia, hospicyjna. Cudem i dzięki Boskiemu miłosierdziu udało się kupić. Tu, w Makówce, w gminie Narew, musimy zbudować centrum hospicyjnoopiekuńczo-edukacyjne. By samotni, starsi mogli mieć pomoc całodobową. I by młodzi lekarze z Polski i Europy mogli się uczyć prawdy o życiu i umieraniu – dr Grabowski na pustym polu rozwija baner. A na nim projekt: nowoczesne hospicjum rozpisane na planie krzyża: życiodajna, podlaska odpowiedź na cywilizację śmierci. W założeniu centrum ma być miejscem, w którym chorzy, starzy, wykluczeni będą mieli swoje miejsce i ze szpitalnym łóżkiem będą mogli wyjeżdżać wprost na sosnową polanę. Oddychać pełną piersią do końca.

Wielkie plany, wielkie nadzieje. Za wielkie pieniądze. Ile potrzeba? W Makówce nawet wiosenny ptak przestaje na chwilę świergotać. – 15 mln zł. Uda się.

Nadzieja na miłosierdzie. Na czystą misję. Na godne życie aż do końca. Czas start. •